

Pamięci przyjaciela inż. Andrzeja Krzyształowicza

Tadeusz Andrzejewski



Motto:

*„Lecz Wy coście mnie znali w podaniach przekaźcie,
Zem dla Ojczyzny sterał moje lata młode
I póki okręt walczył siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę.”*

Mój testament. Juliusz Słowacki

Trudno pisać obiektywnie o człowieku, którego się kochało, wierzyło i ufało mu i który te uczucia odpłacał równie szczerą monetą. Spróbuję jednak opisać i choć trochę wyjaśnić i uzasadnić swój sąd i opinię o tym niezwykłym człowieku. Moim skromnym zdaniem ta niezwykłość nie była niezwykłością na miarę bohaterów jednego dnia, ale najzwyklejszą zwykłością kultywowaną perfekcyjnie przez całe życie. Był najstarszym dzieckiem (z trojga) rodziców, pochodzenia galicyjsko-szlacheckiego, związanych z rolnictwem a pośrednio z hodowlą koni. Urodzony w Wiedniu w 1915 r. Po zdaniu matury wstąpił na Wydział Rolny Uniwersytetu Poznańskiego w Poznaniu. Nie wiem czy to zbieg okoliczności czy wykonceptowany pomysł rodziców. Jestem skłonny przypuszczać, że to drugie. Mieli przecież pod nosem Dublany słynną szkołę rolniczą dla dobrze urodzonych młodych ludzi. Poznań w opinii wszystkich był ostoją porządku, solidności, pracy, doskonałej organizacji. Myślę, że ten wybór też miał niemały wpływ na późniejsze życie śp. Andrzeja. - Coś mu z tego poznańskiego zostało.

Już pod koniec studiów jeździł na praktyki wakacyjne do Janowa, aby po ukończeniu ich osiąść tam na stałe. To już nie były Pelkinie - to był zakład produkcyjny w nowoczesnym znaczeniu słowa z przeszło 100-letnią tradycją. Miał szczęście. Trafił tam na wspaniałego hodowcę pana Pohoskiego. To były czasy Kuhailana Haifi i jego syna Ofira, a w klaczach była solidna baza do rozwijania i ekspansji produktów hodowlanych na cały bez mała świat. Początkowo asystent, później zastępca kierownika, nie mógł rozwinąć skrzydeł. Wojna 1939 r. - ewakuacja stadniny na wschód. Masztalerzy nie starczyło do prowadzenia koni, angażowano ludzi spoza stadniny. Marsze dzienne i nocne. Przepychanki między uciekinierami i kolumnami wojska, po zatłoczonych drogach. Ucieczki koni, strata źrebiąt rocznika 1939, które nie nadążały za matkami. W końcu zbrojne ataki na konwój ludności cywilnej pochodzenia ukraińskiego. Golgota ta trwała aż do powrotu do Janowa. Niestety tylko na jedną noc. Nazajutrz przyszli żołnierze sowieccy w towarzystwie ludności zza Bugu i zabrali wszystko, mimo że sam Janów leżał już w strefie przyznanej po traktacie Ribbentrop-Mołotow Niemcom. Ci ostatni przyszli o dzień za późno - gdy już nie było koni. To Niemcy zaczęli odtwarzać stadninę, ściągając do Janowa klacze, które były jako wyselekcjonowane, umieszczane po majątkach państwowych takich jak Samborzec i Bogusławice.

Zarząd stadniny składał się z żołnierzy niemieckich. Nie potrzeba było dyrektora i zastępcy Polaków. Pan Pohoski wkrótce zmarł. Andrzej został masztalerzem, zresztą jak wiele polskiej młodzieży epoki pre-Kolumbów. Kto mógł czepiał się końskiego ogona.

Nie było łatwo stać się nagle masztalerzem i bardzo trudno zostać akceptowanym przez nich, nie łatwo tak uwiązać snopek siana, by się na plecach nie rozsypał, oni lepiej wiedzieli jak wziąć szczotkę i zgrzebło do ręki i szybciej swoje konie wyczyścili, choć mieli wszyscy po równo. Inteligent to zawsze ktoś obcy. Trzeba mieć niezwykle hart ducha żeby się nie załamać, wytrzymać docinki i złośliwe aluzje. W moim przypadku trwało to prawie dwa lata zanim mnie uznali za swego - ponieważ pochodziłem z poznańskiego zwali mnie „prusak”. Myślę, że Andrzej przechodzi! to samo, byliśmy sami, bez rodzin, w obcym środowisku.

On się nie załamał i wtedy to właśnie nabrał doświadczenia jak należy współżyć z ludźmi, wejść w ich problemy, a nawet życie. Ugruntował swoją pozycję, kiedy ożenił się z miejscową bardzo urodziwą panną Zosią Kozłowską. Początkowo było ciężko. Niemcy zapewniali względne bezpieczeństwo ludziom i podstawę bytu materialnego. Pensja masztalerza wynosiła 270 zł, dla porównania 1 kg masła 250-300 zł, za to koniom zapewniali luksusowe bytowanie, nie brakowało niczego: paszy, skóry, żelaza, sprzętu, siodeł.

W 1941 roku Niemcy ruszyli na podbój Związku Radzieckiego. Oberlandstallmeister Gustaw Rau, zarządzający wszystkimi stadninami na terenach okupowanych w Polsce i na Ukrainie, polecił masztalerzom poruszać się za wojskiem na wschód, po trasie ewakuacji stadniny w 1939 r. i szukać zaginionych koni. Znalaziono kilka cennych koni, które stanowiły potem podstawę przyszłej i dzisiejszej hodowli. Nie będę o tym pisał, to są sprawy ogólnie znane.

Rok 1944 - powtórna ewakuacja stadniny, tym razem na zachód. Sohland, Torgau, Mekleuhorst wreszcie Netellau. Normalne ubytki na drogach - pośpieszne brakowanie zwłaszcza ogierów i przydzielanie ich do wojska. Nieregularne żywienie koni, kwaterowanie i postoje pod gotym niebem, zima, mróz. Andrzej bierze ze sobą rodzinę. Już jest mała Jaga. Ochrania Je jak może. Otula, bo zimno, przerażone tulą się do siebie wśród wybuchów bomb i pożarów bez końca. Wreszcie pod koniec kwietnia załoga i konie docierają do miejsca przeznaczenia Netellau. Konie mają zaadaptowane z szop i stodoł Laufstalle, ogiery małą stajenkę na 5 stanowisk. Jest i dom mieszkalny na razie zajęty przez właścicieli, ale jest dach nad głową. Za 3 dni nawiąże Andrzej kontakt z ewakuowanym dużo wcześniej Racotem. Stoją od dwóch lat 12 km od Netellau w dawnym niemieckim Remonteamcie Schönbecken. Są z całymi rodzinami, mają normalne mieszkania. Stajnie murowane. Pomagają nam - dzielą się z nami czym mogą.

8 maja koniec wojny. Do kanału kilońskiego zaledwie 22 km. W tym północnym cyplu Rzeszy zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy uciekającego Wehrmachtu. Wszędzie na drogach pełno broni, sprzętu, pojazdów.



W Janowie Podlaskim. Zawsze pogodny i wszystkim życzliwy.



Pracownicy P.S.K. Janów Podlaski w Nettelau - 1946 r.
W pierwszym rzędzie stoi (trzeci od prawej) A. Krzyształowicz.

Nareszcie wyzwoleni - z pozoru tylko. Załogi niemieckie stadnin już wcześniej uciekły, zaczęły się kłopoty z aprowizacją - rozprzężenie wśród załóg masztalerskich, brak autorytetów. Andrzej bierze wszystko w ręce. Wiedział już jak do nich przemawiać, jak nakłonić do tego, żeby napoili konie i zadali paszę. Warunki były prymitywne, poilo się konie w stawie za stodołą - w zimie rąbało się lód.

Ludziom nie można się było dziwić. Odczuwali, i okupację, i ewakuację jako przymus, wreszcie mogli robić co chcieli - a chcieli wszyscy, albo nie robić albo wracać jak najszybciej do Kraju. Poczucie, że to koniec to nasze polskie wspólne dobro, które mamy strzec i chronić przed rozgrabieniem, nie przemawiało do nich. Andrzej dwoił się i troił, przekonywał, błagał, niewiele to pomagało. Część załogi pewnego dnia opuściła konie i wróciła do Kraju. Byli wśród nich bardzo wartościowi ludzie z dużym stażem, znający swój fach. Kilku młodych opuściło stadninę przeszli do obozów Dipisów (Displaced Persons) byłych pracowników przymusowych robót, gdzie nie potrzebowali nic robić, a żywili ich Anglicy nie gorzej od nas. Na szczęście pozostali u nas tacy wspaniali ludzie jak: Kazik Guziuk, Witalis Bielecki koniuszy, Janek Ziniewicz, od ogierów, Michałowski Mateusz i inni. Bo normalna praca stadninowa musiała być kontynuowana. Ubytek ludzi uzupełnił Andrzej chętnymi z obozów Dipisów - przyszli na jakiś czas, a nawet byli tacy, którzy zostali i z nami wrócili do Kraju. Przyjął nawet i zatrudnił Niemkę - Fraulein Liselotte Tarakus - dzisiaj szeroko znaną w świecie końskim w Niemczech, która bardzo się nam przydała pilnując konie na padokach. znała je wszystkie, i z nazwy, i z pochodzenia. Chętnie dzieliliśmy się z nią naszymi zasobami żywnościowymi. Każda para rąk na wagę złota. Pewnej niedzieli przywiózł wielkim furgonem Anglik siano dla koni. Trzeba było samochód jak najszybciej rozładować. Andrzej nie chciał gwałcić niedzieli i wolnego czasu masztalerzy, przyszedł do mnie i prosi czy nie pomógłbym mu rozładować tego samochodu. Sam wszedł na samochód i widłami podawał mi snopki, a ja je upychałem lukiem nad stajnię, a ile razy pomagaliśmy nosić worki z owsem? Taki był Andrzej. Ofiarny, delikatny, nie unikający żadnego wysiłku. Najbardziej wymagający od siebie i swoich, respektujący cudze prawa.



Pogawędka z Erturią.

Zawiązał się Zarząd Stadnin Polskich w Niemczech, 5 oddziałów. Każdy oddział miał swego komendanta, a niekiedy dwóch lub więcej - wszyscy prawie, to byli oficerowie po uwolnieniu z Oflagów. Zajmowali się sprawami organizacyjnymi, kontaktami z dowództwem Brytyjskiej Armii Renu, zaopatrzeniem ludzi i koni. Zrobili dużo - za to w stajniach rzadko lub wcale ich się nie widywało, a tam się dużo rzeczy działo. Roniły klacze po tej makabrycznej ewakuacji, masa rozmaitego kalectwa, pomieszczenia też były nieodpowiednie, zimne. Do tego trzeba dodać choroby zakaźne na skutek tej olbrzymiej migracji koni ze wschodu na zachód i odwrotnie z zachodu na wschód. Rozmaite świerzby, zołzy na porządku dziennym, zwłaszcza u młodzieży. Przyplątała się nie wiadomo skąd typowa choroba wojenna tzw. Brustseuche - Pneumonia contagiosa - nazwana u nas piersiówką (nie mylić z flaszką na frasunek). To nie to samo co my dzisiaj rozumiemy pod piersiówką - to bakteryjny rozkład płuc. Chorowały wszystkie klacze, zanim się zorientowaliśmy padły trzy. Trzeba było interweniować natychmiast, po 48 godzinach już było za późno - nie do uratowania, bez przerwy mierzyliśmy temperaturę i stosowaliśmy natychmiast 4,5 g Neosalvarsanu w roztworze. Na szczęście apteczkę mieliśmy dobrze zaopatrzoną. Przez okres miesiąca całe noce siedziałem w stajni. Najniespodziewaniej o różnych porach wpadał Andrzej, pytał co nowego i wypędza! mnie na siłę spać.

„Jutro też jest dzień.”

Dla niego nie było godzin, najpierw obowiązek, aż do wyniszczenia, a potem przyjemność. Inteligentny, dowcipny, lubił i umiał opowiadać kawały, gawędziarz urodzony- zarażał nas swoim dobrym humorem. Przy tym był bardzo sprawiedliwy, każdemu według jego zasług. Nie jeden wieczór przesiedzieliśmy nad gąsiorkiem dzieląc się różnymi doświadczeniami wojennymi. Jak anioł opiekuńczy stała przy nas pani Zosia, tzw. „Zocha”.

Przyjechała misja z kraju - zaczęły się przygotowania do powrotu: spisy koni, sprzętu, inwentarza. Stadnina się łądowała na okręt, aby się udać do Posadowa w poznańskie. Rozstaliśmy się na krótki czas. Dołączyłem do nich w sierpniu 1947 roku już w Posadowię. Stadnina stała w komfortowych warunkach. Obszerne baraki poniemieckie, w pobliżu bogate padoki no i w bród ludzi do obsługi koni.

W Andrzejcu odezwały się stare ciągoty do poznańskiego jeszcze z czasów studiów. Czuli się szczęśliwi i zadowoleni, że konie miały dobrze, chociaż w jego poczynaniach można było zauważyć pewną prowizoryczność, do pełni szczęścia potrzebny był mu Janów. Tylko tam mogły konie znaleźć odpowiednią oprawę.

Razem z końmi z UNRA przywlokła się anemia zakaźna - mobilizacja totalna, żeby nie dopuścić przerzutów do stadniny - prawie jedno podwóro - były tam już wtedy zaczątki obecnej Stadniny Posadowo. Andrzej wstrzymał na jakiś czas stanówkę, przeszliśmy na sztuczną inseminację - 90% żrebnosci - nasienie tylko od jednego ogiera - Rycerzyka sprowadzonego w tym celu z Białki. Dbałość o wygląd koni, o czystość w stajniach, o dokładną dokumentację, o odchów źrebiąt, o poprawne stosunki międzyludzkie były stałą jego troską. Jak w zegarku wychodził rano na przegląd - wszystko widział, życzliwie rozmawiał z ludźmi, delikatnie wydawał polecenia. Nigdy nie zdarzyło się, aby zwracał się do mnie z kategorycznym rozkazem, zawsze „co sądzisz, a może by tak”, nigdy nie interweniował w trakcie czynności - interesował się wynikami.

Wyjechali z Posadowa -ja zostałem, bo w Janowie nie było mieszkań - żałowałem potem bardzo. Ministerstwo przerzuciło mnie potem do Racotu. Nigdy już, z nikim, tak mi się nie pracowało jak z Andrzejem, a prawie całe swoje życie przepracowałem w stadninach. Przyjaźń i szacunek pozostały na zawsze - może dlatego, że kształtowały i przygotowywały nas do podjęcia przyszłych zadań podobne okoliczności. Mimo rozdzielającej nas przestrzeni zawsze zostawaliśmy w kontakcie. List do mnie z dnia 04.11.1997. Był już wtedy bardzo chory... a jak brak w kasie państwowej pieniędzy na lekarzy, szkoły, policję, wojsko itd. to kto da pieniądze na dotację na dziś nikomu niepotrzebne konie. Ale to, kochany, już nie nasza działka i nie nasze zmartwienie. My co mogliśmy w koniach i zrobić, to zrobiliśmy i chyba uczciwie i dobrze, a teraz przychodzi nowe pokolenie, niech ono działa i ewentualnie bierze na siebie odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń”.

Do końca trzeźwy, realny, przewidujący, interesujący się sprawami bieżącymi stadniny, nienarzucający się. Odszedł by zostawić to dzieło, które tak umiłował innymi, aby oni kontynuowali to co odradzało się powoli po zniszczeniach wojennych i aby nie zapomnieli, że i On ma w tym swój wkład.

*Żyłem z Wami, cierpiałem i płakałem z Wami
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.
Dziś Was rzucam i dalej idę z cień z duchami -
a jak gdyby tu szczęście było - idę smętny.*

*Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica -
ani po mojej lutni ani po imieniu.
Imię moje tak przejdzie jako błyskawica.
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.*

Kochany Andrzejcu -
Utinam sit Tibi terra janouiensis leuis.